

Rufus Wainwright
**All Days Are Nights:
Songs For Lulu**

Decca 2010
Dystrybucja: Universal Music

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●○

Rufusa Wainwrighta uznaje się za złote dziecko sceny. Na pianinie zaczął grać w wieku sześciu lat, a edukację zakończył na Uniwersytecie McGilla, gdzie studiował zarówno muzykę rockową, jak i klasyczną.

Jego pierwszy album ukazał się w 1998 roku. Dostrzegli go krytycy, uznając za jeden z ciekawszych debiutów. Wainwright zwykle bogato aranżuje swoje piosenki. Ocierają się one o rozmaite style – od popu i rocka, po kabaret i operę. Tym razem postanowił wszystkie kompozycje wykonać sam, akompaniując sobie tylko na fortepianie.

Powstał melancholijny program, w czasie którego nie tylko rozkoszujemy się świetnym wokalem bohatera płyty, ale też jego mistrzowską pianistyką. Warto się też wsłuchać w poetyckie teksty, nie tylko autorstwa Wainwrighta (niektóre melodie zostały ułożone do sonetów Szekspira). Płyta dostarcza wspaniałych wrażeń i jest inna od znanych produkcji z udziałem śpiewających pianistów.

Trochę tylko nie udało się okładka, która nijak nie chce się kojarzyć z zawartością muzyczną. To jednak mało istotny szczegół, bo muzyka jest godna polecenia.

A jeżeli ktoś woli płyty z bogatszą oprawą instrumentalną, to odsyłam do innych albumów Wainwrighta – jednego z ciekawszych artystów współczesnej sceny muzycznej. ■

Grzegorz Walenda



Gorillaz
Plastic Beach

EMI 2010

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Na trzecim albumie najpopularniejszej animowanej muzycznej grupy świata jest wiele... wszystkiego. Czyli, jak zwykle u Gorillaz, płyta rozbrzmiewa mnogością popowych stylistyk, pomysłowością i tłumem gościnnie występujących muzyków.

Niekiedy ta ilość atrakcji przytłacza; momentami chciałoby się wręcz z kilku tych dodatków zrezygnować. Męczy rymujący niezmiennie beznamiętnie Snoop Dogg, a eksperymentalne fragmenty pokroju „Sweepstakes” wręcz irytują. Wszak nie dla znanych raperów czy muzycznych dziwadłek sięgamy po twórczość Gorillaz!

Ten projekt to przede wszystkim melodyjny elektro-pop z hip-hopowym rytmem, charakterystycznym wokalem Damona Albarna i wpadającymi w ucho refrenami. Szczęśliwie muzycy nie zrezygnowali z tych aspektów i na „Plastic Beach” można znaleźć utwory takie, jak „Rhinstone Eyes” lub „Some Kind of Nature”, które od razu przywołają miłe wspomnienia dwóch poprzednich krążków. Dzięki nim czy kojarzącym się z latami 80. piosenkom „Stylo”, „Empire Ants” i „On Melancholy Hill” album prezentuje się jako pełen potencjalnych przebojów. Wprawdzie w zestawie nie znajdziemy kompozycji, która chodziłaby po głowie równie długo co „Feel Good Inc.” czy „Clint Eastwood”, ale próba powiązania kompozycji antykonsumpcyjną tematyką czyni płytę bardziej spójną od poprzedniczek. ■

Bartosz Szurik



The Magnetic Fields
Realism

Nonesuch Records 2010
Dystrybucja: Warner Music

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

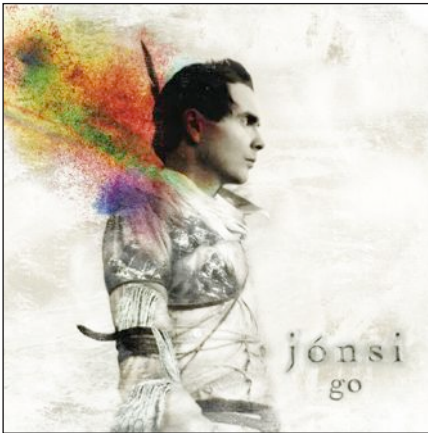
The Magnetic Fields to w zasadzie Stephin Merritt, który dobiera składy muzyków do każdego projektu. Ostatnio miał pomysł na trzy albumy bez syntezatorów i właśnie „Realism” zamyka ten cykl. Kolejna płyta będzie wyłącznie elektroniczna.

Na razie mamy nową porcję nagrań w charakterystycznym dla tego artysty nurcie, będącym wypadkową songów broadwayowskich, muzyki marszowej i chórków w stylu The Beach Boys. Do tego w warstwie instrumentalnej pojawiają się tuba, sitar, akordeon i smyczki. Raz jest marzycielsko, to znów czujemy się jak rano w kurniku, gdzie kury gdażą, a koguty pieją wniebogłosy...

Merritt jest niewątpliwie zdolny; w Ameryce uznawany za artystę kultowego. Trzeba go jednak lubić, by można było słuchać jego utworów. Pod tym względem jest z nim trochę jak z Tomem Waitsem, chociaż to zupełnie inne osobowości.

Merritt debiutował w 1991 roku, ale zapisał się dopiero 8 lat później trzyplutowym wydawnictwem „69”, z tyłoma właśnie utworami, głównie o miłości. O ile tam wykazał się repertuarową szczodrością, o tyle „Realism” to tylko 33 minuty muzyki. Nieco mniej oryginalnej i urozmaiconej niż jego najsłynniejsze dzieło, ale też mającej swoje zalety. Pod warunkiem, że ktoś już zna i ceni Merritta lub jest w stanie „z marszu” polubić jego zakręcony styl. ■

Grzegorz Walenda



Jónsi Go

EMI 2010

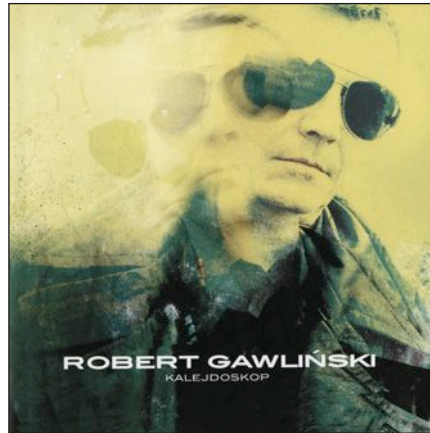
Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●○

Kiedy wokalista uznanej formacji decyduje się stworzyć projekt sygnowany własnym nazwiskiem, staje przed wyborem: zerwać ze stylistyką rodzimej grupy lub kontynuować podróż wytyczonym przez nią szlakiem. Jón Birgisson zdecydował się na to drugie – gdyby jego debiutancką solową płytę puścić zaraz po ostatnim krążku Sigur Rós, niewtajemniczony słuchacz nie zorientowałby się zapewne, że słucha innego albumu.

Materiał z „Go” wiąże z Sigur Rós nie tylko falset i charakterystyczna maniera Jónsiego. Znajdziemy tu również mocny marszowy rytm bębnów w pogodnych utworach, jak „Animal Arithmetic”, „Around Us” i otwierającym „Go Do”, czy spokojnie ciągnące się dźwięki klawiszy i instrumentów orkiestrowych w nastrojowych „Grow Till Tall” oraz „Hengilás”. Gitara jest zepchnięta jeszcze dalej niż na płytach Sigur Rós, ale pojawia się typowe dla Islandczyków postrockowe instrumentarium (dęciaki, smyczki, dzwonki). Jakby skojarzeń było mało, również elegancka oprawa graficzna przywołuje na myśl okładkę „Takk”.

Nie są to zarzuty o powtarzalność, ale prosta konstatacja, że „Go” przypadnie do gustu tym, którym Sigur Rós jest szczególnie bliskie. Jónsi wydał naprawdę dobrą płytę, a fakt, że jego zespół ogłosił właśnie przerwę w działalności, czyni ją tym cenniejszą. ■

Bartosz Szurik



Robert Gawliński Kalejdoskop

EMI Music

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●●●

Długo oczekiwany solowy album Roberta Gawlińskiego może namieszać w głowach etatowym malkontentom, zrzedzającym o niskim poziomie produkcji polskiej muzyki popularnej. Same kompozycje nie wnoszą wiele nowego, co potwierdzają słowa artysty, że nie należy się spodziewać szokujących i karkołomnych zwrotów. Jak kolorowe szkiełka w dziecięcej zabawce, kolejne piosenki mieniają się jednak wieloma barwami.

Wierni słuchacze Gawlińskiego będą lekko zaskoczeni odmiennością stylistyczną, odróżniającą krążek od dotychczasowych dokonań wilczej watahy. Jak w kalejdoskopie zmieniają się nastroje. Ciepłe ballady przenikają ciekawe odniesienia do muzyki wschodu („Tuareg”) i kontrastują z psychodelicznym graniem, usprawiedliwionym egzystencjalizmem warstwy tekstowej. Teksty są takie sobie, ale nie chodzi o to, co komu gra w duszy, ale w głośniku.

Ta płyta jest jak średnio urodziwa panina odziana w kreację Versace. Realizatorski ansambl pod dyrekcją Leszka Biolika dokonał rzeczy niezwykłych. Dwa utwory – „Grey” i „Grzesznicy” – zakończone instrumentalnymi codami to świadectwo zadziwiającego wyczucia w odnajdywaniu kapitalnych subtelności brzmieniowych, które oryginalnością i świeżością nie odbiegają od najnowszych światowych trendów i są pozbawione skazy bezmyślnego kopiowania.

Mości Panowie, bejzbołówki z głów! Polak potrafi. ■

Mirosław Szymański



The Rolling Stones Exile On Main Street

Promotone B.V. 2010

Dystrybucja: Universal Music

Muzyka: ●●●●●●●
Realizacja: ●●●●○

Płyta dynamit. Jeśli jakiś fan rocka jeszcze jej nie ma, to nie wie, co w tej muzyce jest najlepszego.

Niedoceniana tuż po premierze (narzekano, że za długa, trochę za bardzo zróżnicowana stylistycznie), powoli zdobyła grono wielbicieli. Dziś zaliczana jest do najmocniejszych pozycji gatunku.

Stonesi wyjechali do Francji, aby uciec od wysokich podatków i się zabawić. Kupili lub wynajęli ekstrawaganckie domy, a w jednym z nich – należącym do Keitha Richardsa – zorganizowali studio. Tam pili, palili, gościli sławy, a przede wszystkim – grali. Efekt to 18 znakomitych nagrań – od rockowych szlagierów (chyba jeszcze nikt nie powtórzył drive'u z „Tumbling Dice”), poprzez rytmy boogie („Casino Boogie”) oraz country („Sweet Virginia”), a na rhythm and bluesowych i soulowych hitach kończąc. Jest też kawałek, który szczególnie przypadł do gustu Tomowi Waitsowi („I Just Wanna See His Face”), a to spora rekomendacja.

Chociaż zwykle w zespole najjaśniejszy błyszczy Mick Jagger, tym razem ustąpił pierwszeństwa Richardsowi. To właśnie on miał we Francji najwięcej do powiedzenia i to głównie jemu zawdzięczamy tę wspaniałą płytę. Wznowiona wersja wprawdzie zawiera dodatkowy kompakt z materiałem bonusowym, ale najbardziej się liczą nagrania z oryginalnego albumu z 1972 roku. Pozycja obowiązkowa dla wszystkich fanów rocka! ■

Grzegorz Walenda